



KONRAD NIEMIRA

## Aukcje dóbr luksusowych w Warszawie w XVIII wieku

Choć aukcje nie są osiemnastowiecznym wynalazkiem (niewolników i rozmaite towary licytowano już, jak zaświadcza Herodot, w starożytnym Babilonie), to właśnie wiek Oświecenia powszechnie się z nimi kojarzy. Najsłynniejsze, działające do dziś domy aukcyjne powstały w XVIII stuleciu. Dorotheum w Wiedniu założono, z błogosławieństwem cesarza Józefa I, w roku 1707, Sotheby's powstał w Londynie w roku 1744, z kolei James Christie otworzył swój *auction house* w roku 1766. Oczywiście w wyścigu uczestniczył również Paryż, w którym działali słynni marszandzi Pierre Remy i Jean-Baptiste-Pierre Lebrun, mąż (od roku 1794: były mąż) głośnej malarki Élisabeth Vigée Le Brun. Rynek aukcyjny rozwijał się pręźnie również w Amsterdamie, Hamburgu, Frankfurcie, Lipsku i wielu innych miastach niemieckich. Choć w Warszawie czasów Stanisława Augusta nie powstał polski dom Christie's, nie znaczy to, że publiczne licytacje były nad Wisłą nieznane lub niepopularne.

Informacji o stołecznym rynku aukcyjnym i jego formach dostarczają nam dwa typy źródeł. Pierwszym są relacje podróżników odwiedzających Warszawę w XVIII wieku i pamiętniki mieszkańców miasta. Antoni Magier odnotował w swoim wspomnieniowym dziele, osobliwie zatytułowanym *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, że aukcje odbywały się w stolicy dość regularnie i że wprowadził je na stałe Michał Gröll, działający na Marywilu księgarz niemieckiego pochodzenia. Johann Bernoulli, szwajcarski matematyk i astronom, który odwiedził Warszawę w 1778 r., pisał z kolei o aukcji mebli, która odbyła się przy świecach w Ratuszu Starego Miasta. Odnotował też, że w Warszawie publikowano niekiedy katalogi zawierające spis oferowanych na sprzedaż obiektów – niestety żaden z takich katalogów nie zachował się do naszych czasów. Zdaniem obu wspomnianych pamiętnikarzy, aukcje przedmiotów luksusowych stanowiły jedynie margines zjawiska – o wiele popularniejsze były odbywające się na Marywilu aukcje używanych książek. Najsłynniejszą była niewątpliwie aukcja dubletów pochodzących z Biblioteki Załuskich. W 1761 r. zlicytowano w Warszawie – jak

zaświadcza obecny wtedy w mieście Pierre Michel Hennin, sekretarz ambasadora francuskiego – 30 tysięcy (!) książek.

\*

Drugim, o wiele bogatszym źródłem, z którego można czerpać wiedzę o licytacjach, jest stołeczna prasa, a przede wszystkim „Gazeta Warszawska”. Tę typową gazetę informacyjną skierowaną do szerokiej i mieszanej publiczności wydawał od 1774 r. Stefan Łuski, eksjezuista nazywany niekiedy Don Kichotem osiemnastowiecznej prasy polskiej. Na ostatnich stronach „Gazety”, a niekiedy w towarzyszącym jej „Suplemencie” Łuski umieszczał ogłoszenia dotyczące planowanych na kolejne dni licytacji. Na podstawie tych stosunkowo licznych anonsów trudno jednak zidentyfikować precyzyjnie typ oferowanego towaru. Najczęściej mowa po prostu o „rzeczach”. Warto jednak przytoczyć możliwie wiele przykładów wspomnianych reklam, układają się one bowiem w reprezentatywny spis rzeczy warszawskich.

Wiemy na przykład, że w czerwcu 1774 r. licytowano w Warszawie „różne ruchomości, jak to suknie, bieliznę, galony, złote guziki, fuzje, pistolety, porcelany, kubki, namioty, różne materie i inne rzeczy”. W sierpniu 1774 r. Michał Gröll licytował „różne rzeczy, jak to złoto, srebro, suknie, stolarską robotę i inne rozmaite rzeczy”, we wrześniu: „różne paryskie i inne meble, oraz i różne rzeczy”, w czerwcu 1777 r.: „klejnoty: 1. krzyżyk duży z szafirami dużymi, w koło kameryzowany brylantami, 1. pierścień takiż szafirowy duży w koło niego brylanty sadzone, 1. krzyż duży szmaragdowy wkoło kameryzowany brylantami i pierścieni trzy takie liże szmaragdowych w koło kameryzowane brylantami. 1. pierścionek ametystowy mały z brylancikami wkoło sadzony. 2. brylanty duże nie oprawne”. We wrześniu 1777 r. „Gazeta” reklamowała „różne rzeczy, suknie męskie, i białogłowskie, bieliznę, materie jedwabne i inne, klejnoty, stoliki, biliard”, w lipcu 1774 r.: „różne rzeczy jako to suknie polskie i niemieckie, białogłowskie, czapki, szable, bieliznę, obrazy, maszyny optyczne, wóz moskiewski, farfury, lak”, we wrześniu 1778 r.: „klejnoty, srebro, miedź, cynę, mosiądz, meble, zegary, obrazy i resztę z korzeni, jako też i rzeczy sklepowe”. W kwietniu 1779 r. „aukcjonowane” były „różne meble i rzeczy jako to: stoły, stoliki, krzesła, kanapy, komody, szafy, miedź, cyna, żelastwo, futra i bielizna, porcelany, farfury, sprzęta domowe, półki sklepowe, książki i jeden wózek podróżny”. W marcu 1783 r. „Gazeta” zapowiadała również dystrybucję katalogu aukcji, w którym spis miał zawierać „obrazy, portrety, landszafty, pastele i inne przednie malowania, tudzież kopiersztychy do architektury i do rysunków przednie”. W grudniu 1788 r. kupić można było „zegarki i złote i srebrne, suknie męskie i damskie, bieliznę, pościel, salopy z futrami, szuby, szafy, stoliki, komody, kantorki, portrety, obrazy, landszafty, instrumenta muzyczne, towar norymberski i żelazny, i inne domowe sprzęty”. W październiku 1792 r.: „srebro, zegarki, komody, kantorki, kanapy, stoliki, zwierciadła, kopiersztychy, suknie, bieliznę, pościel, karete, konie, szory, wozy i inny sprzęt domowy różny”...

\*

Zanim zastanowimy się nad tym, co mówi nam o warszawskim rynku aukcyjnym rodzaj oferowanych towarów – a szczególnie niewielka obecność wśród nich „sztuki” (obrazów, rzeźb itp.) – warto nieco uwagi poświęcić innym informacjom, które pojawiają się w ogłoszeniach „Gazety Warszawskiej”. Otóż dowiadujemy się z kolejnych numerów, że aukcje odbywały się zarówno w Ratuszu Starego Miasta, jak i na Marywilu,

m.in. w lokalach Gröll'a, pod numerem 19 i 20, a nieco rzadziej w kamienicach należących do mieszczan. To rozróżnienie świadczy, że w Warszawie funkcjonowały dwa typy aukcji – tradycyjna licytacja mienia po osobie prywatnej (zmarłym, bankrucie, handlarzu likwidującym sklep lub kimś wyprowadzającym się z miasta i chcącym pozbyć się ruchomości) oraz „nowoczesna” licytacja, na której prezentowano zbiór zgromadzony przez pośrednika/handlarza. Fakt, że aukcje odbywały się zazwyczaj albo w Ratuszu, albo na Marywilu, również jest nie bez znaczenia. Handel w Warszawie XVIII wieku różnicował się, respektując kulturowy podział miasta. Stare Miasto było zdominowane przez kupców ormiańskich oferujących towary wschodnie i tureckie, w okolicach Krakowskiego Przedmieścia, ul. Miodowej i na Marywilu działały za to modne składy towarów niemieckich i angielskich oraz – w mniejszym stopniu – francuskich, a także składy mebli, które w większości były wytwarzane przez miejscowych rzemieślników. Ponieważ klientela kupców na Starym Mieście różniła się od klientów robiących zakupy w okolicach Krakowskiego Przedmieścia, możemy przypuszczać, że również aukcje organizowane w tych dwóch miejscach miały odmienny charakter. Ponadto funkcjonowanie licytacji jedynie w dwóch ośrodkach, w dodatku posiadających długą tradycję handlu (sięgającą w wypadku Marywilu ostatnich lat XVII wieku, a w wypadku Ratusza jeszcze czasów średniowiecza), pokazuje umiarkowany sukces tego typu przedsięwzięć. Warszawa w czasie rządów Stanisława Augusta rozwijała się w imponującym tempie, w ciągu trzydziestu lat liczba mieszkańców wzrosła od 30 do niemal 120 tysięcy. Handel przenosił się do nowych dzielnic – nie tylko na Krakowskie Przedmieście, ale również na ulice przylegające do Osi Saskiej. Na handlowej mapie miasta pojawiały się nowe centra. Licytacje tymczasem przez cały wiek XVIII pozostały związane ze starszą, ustaloną jeszcze na początku stulecia, geografią handlu. Dla porównania – paryscy licytatorzy pod koniec XVIII wieku budowali specjalne sale aukcyjne (dwie z nich wyposażono w ultranowoczesne szklane dachy), a w Petersburgu handel sztuką zadomowił się w prestiżowym gmachu giełdy. W wielkich ośrodkach licytacje próbowano łączyć z nowoczesną, luksusową oprawą, wywoływać wrażenie światowości. W Warszawie tymczasem obserwujemy tendencję przeciwną – osadzanie licytacji w punktach handlowych mających lata świetności już za sobą i mogących kusić klientów swoją renomą.

\*

Znamy nazwiska tylko dwóch licytatorów. Pierwszym jest wspomniany już „bibliopol” (tj. księgarz) Michał Gröll, który prowadził aukcje już od lat 60. XVIII wieku. Drugim – „aukcjonator uprzywilejowany Jego Królewskiej Mości” Ignacy Hurtig, działający na tym polu od lat 80. Ta ostatnia postać jest niewątpliwie tożsama z nieznanym z imienia Hurtychem prowadzącym magazyn z towarami niemieckimi na Krakowskim Przedmieściu, ojcem innego warszawskiego handlarza, Gaspara, który pod koniec XVIII wieku przejął słynny magazyn Roslera przy tej samej ulicy. Zarówno Gröll, jak i Hurtig pochodzili z krajów niemieckich i wydaje się, że warszawski rynek aukcyjny (a przyjemniej jego teatralna oprawa) musiał w znacznym stopniu czerpać raczej z wzorów Lipska, Frankfurtu czy Drezna niż np. Paryża, Amsterdamu, Londynu czy nawet Gdańska, w którym już w XVII wieku licytacje były bardzo popularną formą handlu dobrami luksusowymi.

\*

Z „Gazety Warszawskiej” dowiadujemy się, że aukcje w stolicy odbywały się o różnych porach dnia: rano, w południe, popołudniu, niekiedy nawet wieczorem. Wspomniany wcześniej Johann Bernoulli zaświadcza z kolei, że aukcje wieczorne odbywały się przy świecach, a skoro zapalano świece (a więc zdecydowano się na poniesienie kosztów), możemy sobie wyobrazić, że publiczność była dość liczna. Licytacje odbywały się w sesjach jedno-, dwu-, trzy-, a nawet czterodniowych, w zależności od ilości oferowanego towaru. Choć „Gazeta Warszawska” donosiła, że publikowane były również katalogi aukcji, żaden z nich nie dochował się do naszych czasów. Warto wspomnieć, że ten sam problem dotyczy również katalogów z początku XIX wieku – jak choćby legendarnego już spisu kolekcji biskupa Ignacego Krasickiego, który znał jeszcze Edward Rastawiecki, ale już nie badacze z początku XX stulecia. Wydaje się, że jeśli rzeczywiście w czasach Grölla i Hurtiga niekiedy drukowano katalogi, były to sytuacje wyjątkowe, a w większości wypadków klienci musieli oglądać towar na miejscu pod okiem odpowiedniego przewodnika. Licytacje nie były więc zupełnie anonimową formą sprzedaży – wymagały oprawy towarzyskiej podobnie jak handel obnośny czy handel wyrobami luksusowymi uprawiany w warszawskich wielkich magazynach Roslera, Jarzewicza, Teppera czy Hamplena, a także w mniejszych sklepach. Towar można było obejrzeć, dotknąć go czy zważyć, przedyskutować jego jakość i wartość z oferentem.

Choć aukcje przyciągały szeroką publiczność, nic nie wskazuje na to, żeby dominującą klientelą byli na nich pojedynczy prywatni nabywcy (w każdym razie jest mało prawdopodobne, żeby do Ratusza chadzały damy z rodzin magnackich czy inne osoby z najlepszego towarzystwa). Choć nie dysponujemy spisami nabywców, wydaje się, że na aukcjach kupowali przede wszystkim handlarze i pośrednicy. Na licytacjach – co wyraźnie podkreślają ogłoszenia w „Gazecie” – przyjmowano bowiem tylko zapłatę gotówką. Wiadomo natomiast, że przedstawiciele arystokracji i bogatszej szlachty brali zazwyczaj towary na kredyt. Warto dodać, że wbrew powszechnemu wyobrażeniu również aukcje w krajach niemieckich i Paryżu nie były adresowane wyłącznie do szerokiej publiczności, ale przede wszystkim do wąskiego grona handlarzy i pośredników (dotyczy to w każdym razie lat 80. XVIII wieku). Kolekcjonerzy pojawiali się tylko na najważniejszych licytacjach. Wiemy, że aukcje stały się w Warszawie wydarzeniem swoiście „branżowym”, bo organizowanym przez handlarzy i skierowanym do handlarzy. W okresie gdy miasto znalazło się w zaborze pruskim, przywołany wcześniej Antoni Magier odnotowywał na przykład, że podczas kryzysu finansowego po III rozbiórce na masowych wyprzedazach brylantów i klejnotów pojawiali się przede wszystkim warszawscy jubilerzy, którzy kupione tam towary szybko wywozili i sprzedawali z zyskiem na rynkach Moskwy i Petersburga. Taki zamknięty, branżowy charakter warszawskich licytacji pozwala też wyjaśnić, dlaczego nie obserwujemy wzrostu liczby aukcji w okresach szczególnego ożywienia miasta, gdy na przykład zjeżdżała się do niego szlachta w czasie sejmów i jarmarków.

\*

Skoro więc aukcje, przynajmniej do końca XVIII wieku, były adresowane nie tyle do licznego grona kupujących, ile do klientów i pośredników dysponujących gotówką, skąd anonse w prasie i liczna publiczność obecna na sali w trakcie licytacji? Wydaje się, że organizatorzy świadomie starali się wykorzystać publiczny aspekt sprzedaży, nadać

jej rozgłos i ściągnąć na salę tłum ciekawskich, nawet jeśli wiadomo było, że kupować będą nieliczni. Podczas gdy oferta magazynów i sklepów w XVIII wieku dotyczyła przede wszystkim sprzedawanych towarów (np. „angielskie towary można kupić u Jarzewicza”), aukcje umożliwiały budowanie specyficznego napięcia. Licytacja rzeczy zmarłego mieszczanina czy niewypłacalnego szlachcica dawała ciekawskim możliwość zajrzenia do jego domu, wkroczenia w prywatność. Ponadto w związku z krótkim czasem trwania i jednorazowym charakterem aukcja zyskiwała rangę wydarzenia. Dobrym przykładem działania tego mechanizmu jest korespondencja wspomnianego już Pierre-Michela Hennina i Jean-François-Josepha Dumonta, francuskiego rezydenta w Gdańsku. W październiku 1763 r. Francuzi informowali się wzajemnie o planowanej w atmosferze skandalu licytacji dóbr Czapskiego (zapewne Tomasza, starosty knyszyńskiego), chociaż – rzecz jasna – żaden z nich nie zamierzał na niej kupować. Aukcja była jednak wydarzeniem, ciekawostką, imprezą towarzyską, o której – podobnie jak dzisiaj – obracając się w niektórych kręgach wypadało wiedzieć i na której wypadało się pojawić.

\*

Powróćmy na chwilę do kwestii asortymentu towarów oferowanych na warszawskich licytacjach. Z przytoczonych wcześniej przykładów „różnych rzeczy” wynika niezbicie, że „sztuka”, czyli obrazy, grafiki itp., stanowiła jedynie margines oferty. W zasadzie tylko jedna aukcja (w marcu 1783 r.) dotyczyła tego typu przedmiotów. Dominowały natomiast aukcje rozmaitych sprzętów domowych, mebli i ubiorów. Fakt handlowania tymi ostatnimi nie powinien dziwić. W epoce nowożytnej nie znano niemal ubrań *prêt-à-porter*, a usługi krawców bywały w XVIII wieku kosztowne. Wybitny francuski historyk Daniel Roche w swojej monumentalnej pracy dotyczącej historii ubiorów (*La culture des apparences. Une histoire du vêtement XVIIe-XVIIIe siècles*, Paris 1990) pokazał, jak wielką rolę odgrywały w osiemnastowiecznym Paryżu mniej lub bardziej eleganckie *friperies*, czyli ówczesne second-handy, oferujące używane, ale nadal zdatne do noszenia ubrania. Również we Włoszech prężnie działały rozmaite *stracciaroli* i *rigattieri*, w Holandii znajdziemy liczne *oudecleerkopers*. W Warszawie, podobnie jak w innych ośrodkach handlowych tego czasu, handel przedmiotami z drugiej ręki cieszył się dużym zainteresowaniem. Skłonność do kupowania raczej używanego towaru, nawet jeśli był już niemodny, niż nowego, zamawianego bezpośrednio u producenta, wynikała też zapewne z braku zaufania klientów do działających w Warszawie rzemieślników. Świadek epoki Antoni Magier wymownie dowodził, że „złotnikowi nie można było powierzyć srebra, bo by je przetopił na wino”. Na bylejąkość rzemiosła albo na wygórowane ceny stołecznych krawców, perukarzy i rzemieślników narzekali też inni. Logiczną decyzją w wypadku luksusowych przedmiotów było więc ich kupowanie z drugiej ręki. Dziś dziwić może jedynie ich wybór. Jeśli wierzyć relacjom z początku XIX stulecia, aby zelektryzować warszawską publiczność, należało wystawić na licytację... luksusową zastawę stołową. Było tak w każdym razie w przypadku aukcji dobytku pozostałego po księciu Józefie Poniatowskim, na której rozsprzedano przede wszystkim wyposażenie kredensu, czyli srebra, szklanki, kieliszki, cukiernice, kryształ, a nie np. dzieła sztuki. Niestety niewiele wiemy o atmosferze, w jakiej była licytowana kolekcja Marcella Bacciarellego, obejmująca bogaty zbiór dzieł sztuki włoskiej. Fakt, że rysunków i obrazów z tego zbioru nie wysledzono dotychczas w inwentarzach polskich kolekcji uformowanych w wieku XIX, sugeruje, że i tę aukcję warszawska publiczność przyjęła bez zbytniego entuzjazmu.

\*

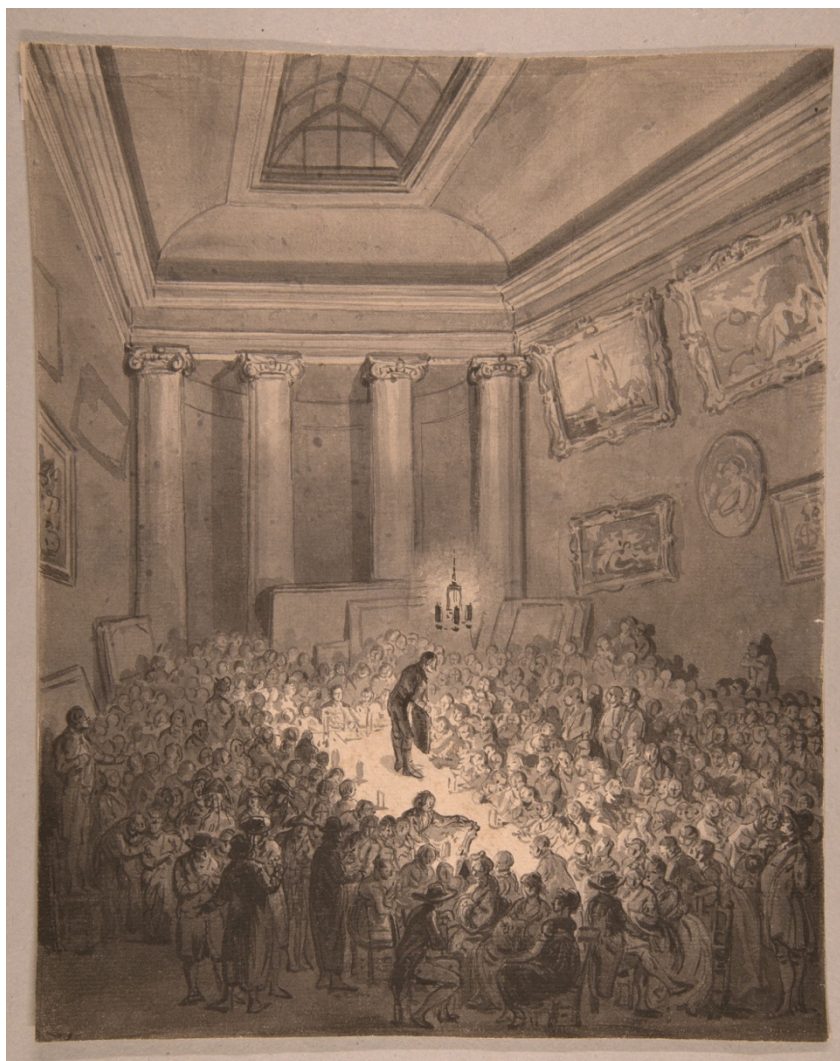
Jak widzieliśmy, na aukcjach oferowano różnorodny towar: zarówno używane ubrania i klejnoty, jak i meble, zegary czy porcelanę, wreszcie: obrazy. Dlaczego jednak proporcjonalnie na aukcjach niewiele było „sztuki”? Dlaczego, nawet jeśli pojawiają się w ogłoszeniach dzieła malarskie, określane są tak enigmatycznie? Ani jedno z cytowanych ogłoszeń nie informuje nas bowiem, jakie konkretnie obrazy będzie można na licytacji kupić. Dowiemy się jedynie o ich gatunkowej przynależności (licytuje się „portrety”, „landszafy”), ale już nie o czasie powstania (czy chodzi o „stare”, czy „nowe malowanie”) ani z jakiej pochodzą szkoły (holenderskiej, włoskiej, niemieckiej itd.), nie mówiąc nawet o nazwisku autora... Nie wydaje się, żeby lakoniczność ogłoszeń zamieszczanych w prasie można było wyjaśnić niską jakością towarów. Nawet słaby artystycznie obraz ma przecież autora, którego zidentyfikowanie dla specjalisty nie musi być trudne. W pierwszym odruchu przyczyn anonimowości malarstwa, które pojawiało się na aukcjach w Warszawie, można by szukać w niekompetencji handlarzy – nic nie wskazuje na to, aby prowadzący „Gazetę Warszawską” eksjezuita Stefan Łuski dysponował choćby elementarną wiedzą z zakresu sztuk pięknych. Podobnie niewiele wiemy o edukacji Hurtiga. Nieco inaczej sprawa ma się z Gröllem, który nie tylko był w dobrych stosunkach z artystami i rzemieślnikami dworskimi (ożenił się z córką warszawskiego jubilera, syna kształcił na grafika u niebyle kogo, bo samego Daniela Chodowieckiego w Berlinie), ale też miał w swojej księgarni zarówno kopiersztychy, jak i druki poświęcone sztuce, niekiedy rzadkie i przeznaczone dla wyrafinowanej klienteli.

Być może więc w Warszawie handlowano „obrazami”, a nie płótnami konkretnych szkół i artystów, dlatego że lokalna publiczność i pośrednicy poszukiwali nie tyle „sztuki”, ile właśnie „obrazów”, tj. przedmiotów dekoracyjnych, a nie kolekcjonerskich? Choć w Warszawie obrazy można było znaleźć zarówno w domach magnatów, bankierów, jak i mieszczan, niewiele wskazuje na to, żeby kolekcja typowego przedstawiciela którejkolwiek z tych grup była wysokiej klasy. Zbieracze tacy jak Stanisław Kostka Potocki czy Michał Hieronim Radziwiłł stanowili szlachetne i rzadkie wyjątki. Dość wspomnieć, jaki zawód spotkał bywałego w świecie Bernoullego, któremu w 1778 r. z namaszczeniem pokazywano „arcydzieła” zgromadzone w warszawskim pałacu Sapiehów – zdaniem podróżnika niebędące niczym więcej niż bohomazami... Symptomatyczna jest również anegdota cytowana przez Fryderyka Schultza. Inflantczyk odnotował dobrą reputację, jaką cieszą się we Włoszech polscy podróżnicy. Według Schultza podróżujący do Italii Polacy, którzy nie znali ani obowiązujących tam cen, ani nie rozróżniali rozmaitych szkół malarskich, dawali się łatwo oszukiwać przekupniom. W związku z niekompetencją czy nieroztropnością zamożnych polskich klientów Włosi ukuli w XVIII wieku powiedzenie *far viaggio alla polacca*.

Nieużywanie nawet podstawowych specjalistycznych terminów mogło więc nie wynikać z niekompetencji sprzedających (jeśli za dowód profesjonalizmu uznać przyporządkowywanie obrazów jakiejś malarskiej szkole, co było częste choćby w anonsach w osiemnastowiecznych gazetach niemieckich), lecz z ich chęci dostosowania języka ogłoszeń do oczekiwań publiczności. Tę zaś niewątpliwie ciekawiły nie holenderskie mariny czy włoskie madonny, ile po prostu „obrazy”.

Dzieła wielkich mistrzów, a w każdym razie obrazy przypisywane wielkim mistrzom, takim jak Tycjan czy Gabriel Metsu, można było znaleźć w Warszawie przede wszystkim w magazynach handlowych Teppera, Hamplena i Bormanna. Niestety niewiele wiemy o tym, jak obrazy docierały do Warszawy. Być może część towaru warszawscy handlarze kupowali od wędrownych kunsthandlerów (wiadomo na

przykład, że Jacques Triebel z Berlina dostarczał towar Bormannowi), a może sprowadzali go przez agentów z miast niemieckich albo samodzielnie nabywali podczas zagranicznych podróży (wiadomo, że tak postępowali gdańscy handlarze, na przykład Gottfried Grischow, organizator aukcji księgarskich, który z podróży po Francji, Włoszech i Niemczech przywoził graficzne dzieła znanych mistrzów). Niewykluczone jednak, że wielcy „magazynierzy” Warszawy kupowali obrazy... na aukcjach w Warszawie oraz Gdańsku. Fakt, że Hurtig nie tylko był aukcjonatorem, ale również właścicielem sklepu na Krakowskim Przedmieściu, zdaje się potwierdzać hipotezę o przenikaniu się obu tych światów.



Jean Pierre Norblin de la Gourdain, *Licytacja obrazów na Rue de Cléry w Paryżu, 1797*,  
Muzeum Narodowe w Warszawie

Kłopotliwy, ale wart uwagi, jest fakt braku bliższych relacji między światem handlarzy a środowiskiem warszawskich artystów. Teoretycznie artyści mieli wszelkie kompetencje, żeby uchodzić za ekspertów od spraw malarstwa: mogli doradzać, potwierdzać lub podawać w wątpliwość autentyczność prac, zarówno tych oferowanych w magazynach, jak i wystawianych na licytacjach. Ich obrazy mogły być też przedmiotem handlu – wszak słynny Chardin jeszcze za życia zobaczył swoje płótna na publicznej licytacji w Paryżu! Nie dysponujemy jednak żadnymi źródłami potwierdzającymi aktywność warszawskich artystów na ówczesnym rynku sztuki albo choćby mówiącymi

o ich negatywnym stosunku do tego rynku. A przecież próby ingerencji weń artystów, szczególnie tych związanych z królem, byłyby czymś pożądanym. Trzeba pamiętać, że w Paryżu artyści związani z Królewską Akademią Malarstwa i Rzeźby wielokrotnie występowali przeciwko artystom handlującym sztuką i próbowali utrzymać swój monopol pozwalający decydować o tym, co jest wielką sztuką i ile powinna być ona warta. Podobnie w Londynie akademicy kilkakrotnie próbowali interweniować na rynku sztuki i podawać w wątpliwość kompetencje handlarzy (z takimi zarzutami spotkał się m.in. marszand Michael Bryan). Na marginesie warto dodać, że we Francji wieloletnia podjazdowa wojna między środowiskiem królewskich artystów i królewskich specjalistów od sztuk pięknych z jednej strony, a handlarzami o proveniencji cechowej z drugiej, skończyła się ostatecznie tryumfem tych ostatnich. Słynnemu Le Brunowi udało się udowodnić brak profesjonalizmu „muzealników” i zostać konsultantem porewolucyjnego muzeum.

\*

Choć nie dysponujemy ikonografią warszawskich aukcji, możemy przypuszczać, że były one podobne do tych odbywających się w miastach Europy Zachodniej. Rysunki obrazujące licytację dzieł sztuki u paryskich marszandów (wśród twórców tych ilustracji są: Gabriel de Saint-Aubin, Pierre-Antoine Demachy czy Jean-Pierre Norblin, którego rysunek jest tu reprodukowany po raz pierwszy w historii!) dają nam pewne wyobrażenie o atmosferze tego typu przedsięwzięć. Zarówno na ilustracjach, jak i w opisach sporządzonych przez uczestników licytacji powracają te same elementy: tłum ciekawskich, ścisk, gwar, nieład, podniecenie, przepychanki. Charakterystyczny jest też dramaturgiczny efekt osiągnięty przez rozmieszczenie przedmiotów w sali. W centrum znajdował się, niby w anatomicznym teatrze, podest czy wybieg dla aukcjonatora. Jak w teatrze rozstawiano na nim niekiedy świece.

Ten dramaturgiczny aspekt wydaje się nieprzypadkowy. W XVIII wieku aukcje nie tylko umożliwiały sprzedaż dużej liczby przedmiotów i osiągnięcie maksymalnie wysokiej ceny w możliwie krótkim czasie, ale przede wszystkim pozwalały na wprowadzenie nowej, „emocjonalnej” formy sprzedaży. Były rodzajem miejskiego, demokratycznego spektaklu. Po pierwsze – wprowadzały jawność sprzedaży. Publiczne wystawienie obiektów na licytację sprawiało, że pojawiało się miejsce na równoczesny publiczny osąd estetyczny oraz publiczną ocenę ich wartości. To nie licytator decydował o cenie obrazu, ale – niekiedy kapryśne – zainteresowanie klientów. W pewnym sensie aukcje pełniły rolę zbliżoną do Salonu, czyli publicznej wystawy obrazów, na której każdy – w cichości serca lub na głos – mógł powiedzieć, co sądzi o prezentowanych dziełach. Po drugie – licytacje miały silny aspekt demokratyczny: na licytację mógł przyjść każdy, tak jak każdy mógł o niej przeczytać w gazecie. Jeśli uświadomimy sobie, że w epoce nowożytnej licytowano nie tylko efemeryczne kolekcje tworzone przez handlarzy, ale też zbiory po zmarłych i bankrutach (w 1673 r. w Paryżu zlicytowano kolekcję po królu Janie Kazimierzu, a tapiserie, obrazy i wazy należące do pomazańca bożego mógł kupić każdy, kto dysponował gotówką), zjawisko nabiera niezwyklej siły politycznej. Nic dziwnego, że stulecie licytacji zamyka się we Francji publicznym rozsprzedaniem kolekcji arystokracji i dworu, a w Warszawie nie mniej licznymi aukcjami majątków ofiar bankowego krachu. Szybko aukcje stają się narzędziem i domeną nowej burżuazji.